

Słońce, woda, piasek...

Cel – Austria – Kendlspitze, Grosser Muntanitz, Kleiner Muntanitz – zdobyte

Kiedy – wrzesień 2016

Kto – Dzik & Dawid & Daniel & Dawid

Tekst i Zdjęcia – Dzik



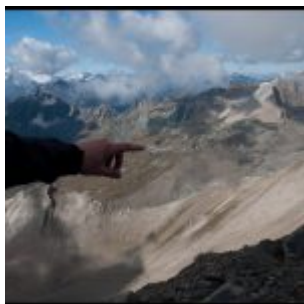
Dojście do schroniska



Daniel i Dawid na przełęczy tuż pod szczytem Kendlspitze.



Spojrzenie w kierunku Kals. Jak na dłoni wszystkie te szlaki, które dopiero co pokonywaliśmy z Michałkiem w wózku.



Daniel palcem wskazuje schronisko. Widoczna ścieżka to moja droga krzyżowa.



Zejście z Grosser Muntanitz. Po prawej Kleiner Muntanitz.



Ferrata na Kleiner Muntanitz (w drodze powrotnej).



Zespół w dobrych humorach na Kleiner Muntanitz.



Słońce, woda, piasek... Widok na schronisko i dolinę.

Jak już wspomniałem w [poprzednim artykule](#), zaledwie 2,5 tygodnia po urlopie z Agą i Michałem w Kals, znów wróciłem w te rejony, lecz tym razem był to wypad ekspresowy. Zdaję sobie sprawę, że prawie każdy wyjazd, który opisuję, jest opisywany przeze mnie jako „szybki”, „krótki”, „ekspresowy” itp. itd. Tylko, że ten był naprawdę rekordowy pod tym względem! Wyjechaliśmy mianowicie w piątek o 20:00, w sobotę weszliśmy na jedną górę, w niedzielę weszliśmy na drugą górę, zeszliśmy i wróciliśmy do domu koło 2:00 w nocy z niedzieli na poniedziałek. Taki był zresztą cel wyjazdu, żeby pokazać, że wejście na 3-tysięcznik nie jest czymś zarezerwowanym tylko dla wybrańców. Warto tu dodać, że oprócz mnie, czyli Dzika (1D), udział wzięło dwóch kolegów z pracy: Daniel (2D) i Dawid (3D), dla których był to pierwszy wyjazd w Alpy. Dołączył do nas po drodze drugi Dawid (4D), którego mogę już śmiało nazwać stałym członkiem ekipy.

Do Glanz (1500 m) koło Matrei dojechaliśmy wcześniej rano i koło 6:00 ruszyliśmy na szlak w kierunku Sudetendeutschen Hütte (2665 m). Zgodnie z opisem powinno nam to zająć 4h i w takim też czasie udaje nam się tam dostać. Wprawdzie 2 nowych chłopaków mało ducha nie wyzionęło, ale jednak czapki z głów, że dali radę pomimo ciężaru plecaków (paręnaście kg dla osoby, która nie wędrowała z plecakiem robi różnicę). Do schronu dotarłem pierwszy, po czym ogarnąłem legowiska, oporządziłem się co nieco i poczekałem z aparatem na chłopaków. Chciałem ich wymęczonym twarzom zrobić zdjęcia, sam nie wiem po co, może by mieli pamiątkę z pierwszego marszu po Alpach, a może

były to jakieś dotychczas ukryte, sadystyczne predyspozycje. Przypuszczam, że właśnie za te zdjęcia, oraz za to, że kilkakrotnie powtórzyłem, jak ostatnio w 4h wszedłem na szczyt zostałem pokarany. Już w schronie poczułem się źle, więc położyłem się spać. Chłopaki również potrzebowali tego odpoczynku, ale prawdopodobnie bym się tym nie przejął, gdybym sam czuł się perfekcyjnie. Po 45 minutowej drzemce wcale nie poczułem się lepiej.

Wyruszyliśmy ze schronu z zamiarem osiągnięcia dwóch 3-tysięcznych szczytów. Jednak u stóp Gradötzkogel (3063 m), czyli zaledwie paręnaście minut od schronu już miałem kryzys. Zdecydowaliśmy się pójść od razu na Kendlspitze, jako, że jest wyższy i wygląda na ciekawszy cel. Jak chłopaki tym razem nie pokazali po sobie żadnego zmęczenia i szli dzielnie pod górę, tak ja znalazłem się w kupce po uszy. Coś jak czasem Michałek w domu, jak się pielucha przepełni. Wlokłem się zupełnie bez sił i nawet nie robiłem dobrej miny do złej gry. Na tym samym podejściu, na którym niespełna 3 tygodnie wcześniej skakałem jak kozica, dziś błagałem w duszy, by chłopaki poszli beze mnie i pozwolili mi siedzieć bez ruchu na kamieniu. Ale pewnie bym nie usiedziało długo tylko uciekł do schronu, na pryczę.

Wówczas nie byłem w stanie filozofować, ale potem dotarła do mnie taka myśl: możesz zdobyć górę, możesz to zrobić w rekordowo szybkim czasie, może wejść wyjątkowo trudną drogą, możesz to zrobić bez jedzenia, picia, albo nocą bez czołówki. Ale w żadnym z tych przypadków nie możesz powiedzieć, że daną górę pokonałeś. Bo po żadnym z twoich wejść góra nie stanie się ani odrobinę słabsza, niższa, czy mniej stroma. Za to, jeśli góra ciebie pokona, to możesz mieć kłopot. Możesz coś złamać, możesz coś odmrozić, a może też skończyć się większym dramatem. Obrazuje to sytuacja, w której się znalazłem: czas, w jakim pokonałem pewien dystans pewnego dnia, dotyczy tylko tego określonego dystansu w tym określonym czasie i jest związany ściśle z moim samopoczuciem, moją kondycją fizyczną i psychiczną, pogodą i nie wiem czym jeszcze, ale tylko tamtego

dnia, nie dziś, nie za tydzień i nie za rok.

Wracając pod Kendlspitze – siedzę na kamieniu i czekam, aż chłopaki powiedzą, że pójdą sami. Nawet pozwalałam sobie otwarcie im to zaproponować. Wtedy słyszę od Dawida: „to zostaw sobie tu plecak, będzie ci lżej”. Szlag by trafił, nie o to chodziło, ale zostawiam plecak i sunę do góry. Wdrapujemy się na przełęcz, robię zdjęcia, choć nie mam ochoty. Chcę przekazać aparat i zostać tu. Nie potrzebuję być znowu na tym szczycie, a tymczasem znów słyszę coś, co sugeruje, że powinienem iść z nimi. Pewnie, że powinienem, w końcu mam ich pod opieką, a przynajmniej dwóch z nich. Tylko co zrobić, kiedy mam problem z otwarciem oczu, wiem, że jakbym się tu położył na kamieniach to natychmiast bym zasnął. Samo czytanie tego może bardzo zmęczyć, więc streszczę finałowy przebieg: weszliśmy całą czwórką na szczyt i zeszliśmy również razem. Świetną pracę wykonał za mnie Dawid, który pomagał chłopakom, podpowiadał, gdzie postawić nogę, gdzie się przytrzymać. Co najważniejsze – poczekał na nich, kiedy była potrzeba. Jakby tego było mało, Daniel przejął ode mnie plecak. Do schronu dotarłem zataczając się, powłócząc nogami i ledwo utrzymując otwarte powieki, czyli w stanie, który zaczynał być mocno niepokojący. Wszyscy padliśmy na prycze i zasnęliśmy.

3 godziny później wybudziłem się z majaków, jakie się miewa w wysokiej gorączce i chrypiącym głosem próbowałem przekonać chłopaków, że rano powinni wyruszyć na szczyt sami. Zupełnie nie widziałem się następnego dnia w górach. Niestety argumentowali, że nie mogą mnie samego zostawić, a to dobijało mnie jeszcze bardziej. Obiecałem sobie, że na zawsze zapamiętam ten stan, kiedy jest się najsłabszym ogniwem i będę wykazywał w górach więcej empatii.

Kletterweg na zboczu Kleiner Muntanitz

Rano obudziłem się jak nowo narodzony. Słaby (dziecko po urodzeniu też nie wykazuje atletycznej formy), ale z tendencją

do poprawy. Tym samym nie było powodu, by nie wyruszyć na najwyższy szczyt w grupie Granatspitzgruppe – Grosser Muntanitz (3232). Był to pierwszy raz, kiedy trasa na szczyt prowadziła w głębokim piasku. Nie mówię o piargach czy drobnych kamieniach. Szliśy po autentycznym piasku i pół żartem rozważałem założenie stuptutów. Poza piaskiem w butach nie napotkaliśmy żadnych trudności i szybko znaleźliśmy się pod szczytem Kleiner Muntanitz (3192 m). Tu jest krótki fragment ferraty, na którym przy oblodzeniu lub śniegu wartko założyć raki. Schodzimy tym ubezpieczonym linami kominem i potem, znów łagodnym grzbieciem przypominającym szlaki w Sudetach wchodzimy na Grosser Muntanitz. Cel główny osiągnięty w doskonałym czasie (około 2,5 h). Po serii pamiątkowych zdjęć znów podchodzimy pod komin z ferratą. Wspinamy się nim na górę i przeskakując kilka kamieni stajemy na Kleiner Muntanitz. Żał było nie „zdobyć” tego wierzchołka, to dosłownie kilka kroków od ścieżki. W pełni usatysfakcjonowani i w znacznie lepszej formie (tyczy się to nas wszystkich) wracamy do schronu. Po drodze słyszę, jak Daniel mówi: „czuję się jak w ciepłych krajach”. W rzeczywistości, pogoda i warunki są nie tyle letnie, co wręcz jakieś afrykańskie. Tak wyobrażam sobie góry w Maroku, ewentualnie Sierra Nevada w Hiszpanii. Tymczasem jest to końcówka września w Alpach, a my skąpani w słońcu schodzimy piaszczystym zboczem do schronu położonego nad jeziorkiem. Stąd „Słońce, woda, piasek...” w tytule. Jedynie betoniarki brakowało.

Wczesnym popołudniem ruszyliśmy w dół, do naszego Audi – model „Ryan-Air”, podkuliliśmy kolana i pojechaliśmy do Polski.

-END-